

ALBAŃSKIE DIRT ZONE

Decyzja dot. tego wyjazdu zapadła jeszcze w czerwcu, kiedy to wspólnie z innymi Afrykanerami na Naszym forum rozstrzygnęliśmy konkurs pod tytułem: Grecki laicik rekreacyjno-plażowy czy Albański hardcore off roadowe. Chęć wyjazdu początkowo deklaruje cztery załogi ale już na dwa tygodnie przed dniem '0" wiemy że pojedzie dziewięć motocykli, osiem Afric Twin i jedno Varadero.

Marcin vel "Kajetan" z Jolą - Africa Twin RD-07 /Sosnowiec/

Damianos z Asią - Africa Twin RD-07 /Zabrze/

Łysy z Olą - Africa Twin RD-03 /Opole/

Andrzej z Emilią - Africa Twin RD-03 /Gdynia/

Jarek "Garwoliniak"- Africa Twin RD-04 /Garwolin/

Rafał zwany "kotem" - Africa Twin RD-04 /Pszczyna/

Sławek vel "Pindor" - Africa Twin RD-07 /Warszawa/

Ja z synem Łukaszem - Africa Twin RD-07 /Jasło/

Adam "Dubielmotors" na Varadero /Biecz/

Po wszystkich ustaleniach i przygotowaniach nadchodzi długo oczekiwana godzina "ataku", w uszach słyszę magiczne hasło - "Tora-Tora" /wersja polska to: "kończ Waść wstydu oszczędź" lub bardziej współcześnie "uwaga-uwaga, koma trzy nadchodzi"/.

Dzień pierwszy - spotkanie zgodnie z ustaleniami na Chyżnem o 10.00, tankowanko i szybki przelot przez Słowację i Węgry do Mohaca /dzień bez większych przygód z wyjątkiem przejazdu przez Budapeszt w którym jak zwykle zgubiłem drogę i Łysego z Adamem/. Nocleg już w komplecie na kempingu w domkach, które po kompresji uczestników i przeliczeniu kosztów wyszły podobnie jak namioty.



Dzień drugi - przelot przez Chorwację na Osijek i wjazd do Bośni i Hercegowiny. Zaczynają się winkle i gorsze drogi - Andrzej na jednym z zakrętów posypanym w środku lata piaskiem lepiej niż w Polsce górskie szlaki zimą, zalicza pierwszą niegroźną glebę. Straty to spękane lustro i obtarty łokieć plecaczka - Emili. Na nocleg stajemy przed Mostarem - jest jezioro, miejsce na namiot, kible w stylu Velikanka /to ta mamucia skocznia na Słoweni - Planica/ oraz nocne harce piżamowo-dyskotekowe, Pindor znów staje na wysokości zadania i podobnie jak na Rumunii robi za KaOwca /prawie jak Tym w "Rejsie"/. Niemal niewartą wspomnienia jest kontrola policyjna jakiej "ulegli" Jarek z Damianosem - chłopaki przycięli za ostro i Bośniacki Wymiar Sprawiedliwości przyjął od nich datek w postaci czterech euro i jednego forinta /co do tych euro to wiem że jest to jakieś szesnaście zeta ale ten jeden forint ? - za sto forint płaci się jakieś złoty siedemdziesiąt - chyba Damianos "wyciuł" ten organ bośniackiej administracji/.



Dzień trzeci - z rana Mostar jak śmietana! Goście tym razem nas "wyciułoli" i żaden z mostu nie skoczył - chcieli za skok na nogi 25 EU a na dyńke 50 EU /proponowałem że za dyche skocze na dupe ale zaraz się obruszyli i powiedzieli że trzeba mieć jakieś uprawnienia czy coś - tak naprawdę to bym za milion nie skoczył - wysoko po ch.../. Za Mostarem tunele, czyli wkładanie głowy w d... i kolejna niegroźna gleba - tym razem Jarka /gleba jak gleba - Jarek pod złym kątem chciał zmienić pas ruchu przy wzdłużnym uskoku i dodatkowo porzrzucanych kablach i przewodach elektrycznych - remont nawierzchni, ale jaja to były z "oznaczeniem m-sca kolizji" - gleba zaliczona była w tunelu więc Jarek musiał "pajacykami" zatrzymać ruch i dopiero przygodni Bośniacy z katamarana /czyt. - VW Golfa II/ pomogli mu postawić furkę na koła/. Wieczorem meldujemy się w Molunacie, gdzie znowu zamiast namiotów trafiamy nocleg w wynajętych pokojach /niektóre nawet z łazienkami i kuchnią/ po 10 EU od osoby.



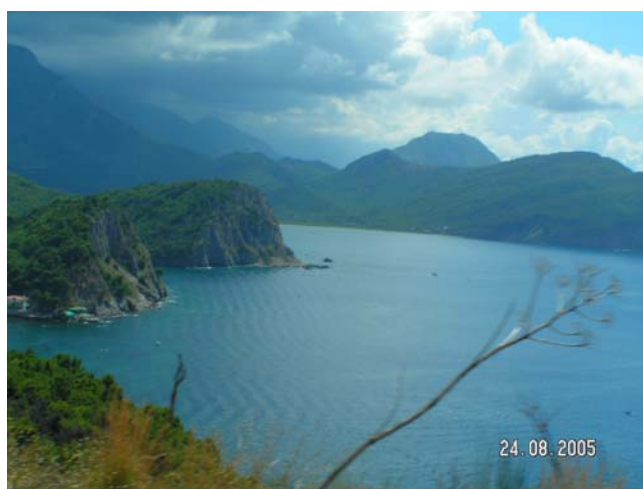


Dzień czwarty - moczenie d^o w Adriatyku, jedzenie kaktusów /bez kitu ! - są takie jadalne odmiany które tam rosną/, picie rakiji i Ożujskoje, wieczorne występy nudystyczne i takie tam pierdoły - jednym słowem wieczorek rozpoznawczo-zapoznawczo - zaczepny.

Dzień piąty - jedni zwiedzają Dubrownik i co by się nie nudzić zaliczają terenową glebę /tym razem gmoie przyciera Kajtek/ a drudzy wypożyczonymi rowerami zdobywają park Prevleka czyli ostatni, najdalej na południe wysunięty cypel Chorwacji.

Wieczorem "polaków rozmowy" przy winie tudzież innych trunkach dozwolonych od lat 18-stu. Ja niestety mało roztropnie zdecydowałem się na korzystanie z rowerowej odmiany aktywności fizycznej co przy moich predyspozycjach wagowych zaowocowało odparzeniem dupska i chorobą zwaną "miażdżycą jajeczną" /po godzinie w sidle górala doceniłem ponoć mało wygodną kanapkę Africzki/.





Dzień szósty - rozstajemy się z Adamem na Viaderku, który postanawia promem płynąć do Ankony a my lecimy na Monte-Negro. Wieczorem jesteśmy na kempingu w Ulcinji,

gdzie Damianos prześladowuje znalezionego na plaży żółwia, który w rewanżu go olewa /dosłownie gad olał mu łape/. W Ulcinji wyraźnie czuć już zapach Albanii - muzyka orientalna, ludzie jacyś tacy inni i wszędobylskie śmieci kreują poczucie niepewności - jakoś Nas tak w dołku ściska i nawet Nasza reprezentacyjna ekipa "wokalna - taneczna" odpuszcza sobie nocne harce w miejscowej dyskotecie.



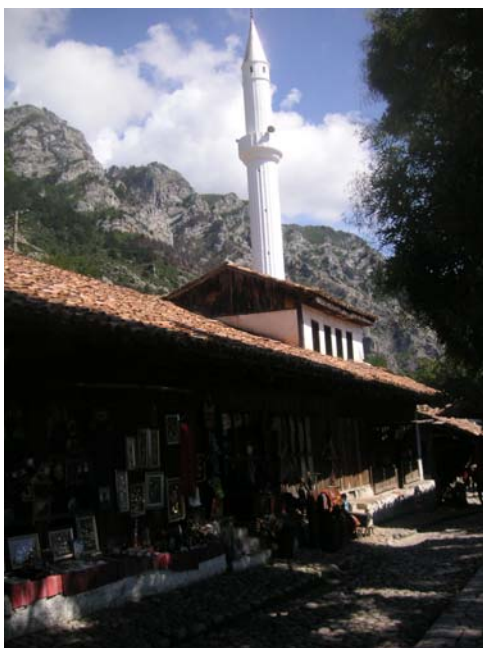


Dzień siódmy - z samego rana pokonujemy granicę Albańską, zaczyna się hardcore !!! Na granicy bez problemów /nawet opłaty nas ominęły/ ale zaraz za przejściem zaczyna się dziwny świat - kozy, świnie, krowy i osły wydają się nie znać przepisów i łażą złą stroną drogi. Lecimy do twierdzy Skandenberga w Kruje. Droga jak dobre martini - "wstrząśnięte nie mieszanie" - miejscami asfalt spoko ale są też odcinki nie tknięte ręką drogowca od czasów wspomnianego Skandenberga.

Podjazd do twierdzy iście karkołomny, a same ruiny w tym głównie ich lokalizacja na półce skalnej też robią wrażenie. Z Kruje spadamy do Shkodry gdzie zaczyna się już prawdziwa "jazda bez trzymanki na maksa" - nikt nie przestrzega jakichkolwiek reguł, auta jada pod prąd, na rondzie którego środek to słup telegraficzny lub latarnia nikt nie przestrzega pierwszeństwa a gliniarze lizakami i gwizdkami tylko pogłębiają ten drogowy chaos. Wymiana waluty w banku przypomina sceny z filmu "Jak to się robi w Chicago" a telewizja Albańska, która wyrasta chyba spod ziemi robi z nami jakiś wywiad - widać jesteśmy "atrakcją sezonu".

Jaja jak balony - sposób w jaki Albańczycy korzystają z ulic /to określenie nie pasuje do zwirowo, błotnych, piaszczystych odcinków ale jest jedynym jakie przychodzi mi do głowy/ stanowi swoiste połączenie atmosfery naszej dumy narodowej czyli stadionu 10-cio Lecia z porządkiem panującym na skrzyżowaniach Kairu. Po kilku godzinach i szybkim przelocie przez Tirane lądujemy w ekskluzywnym hotelu Virginia w Durres /riwiera Albańska - e-mail: virginia@interalb.net/, gdzie udaje nam się wynegocjować rewelacyjną cenę 24 EU za pokój trzy osobowy z widokiem na morze.









Dzień ósmy - wyjazd z hotelowej pralni po schodach /dla bezpieczeństwa wynegocjowaliśmy że tam właśnie na nocleg schowamy motorki/ i jazda w kierunku gór w północno zachodniej Albanii.

Znowu przelatujemy przez Shkoder a następnie kierujemy się na Golem - Ura e Shtrenje - Kir - Lotaj i Boge. W początkowym odcinku droga na mapie jest zaznaczona jako asfaltowa i to by się nawet zgadzało /mapa jest stara więc i asfalt pewnie kiedyś tam był/, dalej mapa wskazuje że droga ma przechodzić w gruntowo-szutrowy odcinek, który jest jednak głównym szlakiem komunikacyjnym między wymienionymi miejscowościami.

Niestety - pojęcie drogi w rozumieniu Albańskich kartografów zupełnie różni się z naszą jej definicją. Owa droga to miejscami żwirowo-kamienista ścieżka szeroka na niewiele ponad metr, błotno-podmokła "autostrada do nieba" to znów półka skalna z wypłukanym łupkiem który nie grzeszy przyczepnością albo zwykłym skalno-kamiennym rumowiskiem, które osuwa się gdy tylko odkręcisz mocniej manetę.

Dodatkową atrakcją przy tak urozmaiconym podłożu jest fakt, że nasze motorki to nie TT600R czy inne bardziej wyczynowe endurka /po systematycznej lekturze blog-u <http://motoafryka.blox.pl/html> dziękuję Bogu że mnie nie podkusiło do kupna tych "bezawaryjnych" organów - może to jest i złośliwe ale "każda sroczka swój ogonek ..."/ tylko dość potężne i ciężkie Africi Twin z bagażami i w większości przypadków pełnymi załogami. W ten karkołomny sposób pokonujemy w cztery i pół godziny 64 km. pełne ostrych, wykonywanych na pełnym gazie kilkunasto-stopniowych podjazdów i zjazdów ze zblokowanym tyłem. Wentylatory niemal się nie wyłączały a zawieszania przeszły prawdziwe katusze. Gdyby kierować się zasadą "dzień bez gleby dniem straconym" to na tym odcinku wyszła nam iście golemowska superata.

Gleby zaliczyli niemal wszyscy /niektórzy w promocji załapali się na dwie-trzy "repety"/. Straty odnotowano w ludziach i sprzęcie - z "odcinka specjalnej troski" dwie AT wróciły bez szyb, jedna z popękkanymi plastikami, dwie z przytartymi gmołami i szlifami na owiewkach, jedna z przesuniętą do tyłu centralną odnóżką, jedna z mocno zdeformowaną płytą osłonową silnika i jedna z wgniecionym alufierkiem, który uratował motorek od poważniejszych "obrażeń". Co do strat w ludziach to pomijając straty moralne tudzież naruszona dumę "globtroterów" oraz poobijane łokcie i kolana Jarek doznał mniej zabawnych ale na całe szczęście nie aż tak groźnych obrażeń prawej ręki.

Zdarł co prawda skórę i poszarpał przedramię na skałach ale na całe szczęście "zwarł po męsku pośladki" i dał radę jechać dalej. Ostatnia strata dotyczyła moich ukochanych bo jedynych butów enduro z których odpadła podeszwa - żal i smutek był ogromny a dalsza jazda w trampkach raczej nieprawdopodobna - z pomocą przyszedł Łysy a właściwie jego super-mocna taśma klejąca która sprawowała się dzielnie aż do zakończenia wyjazdu. Na

nocleg zajeżdżamy do Vukpalaj-Bajze, gdzie zaprosił nas poznany "na trasie" Ojciec Tomasz - polski misjonarz i zakonnik Salwatorianin, który wspólnie z dwoma wolontariuszkami Polskiej Akcji Humanitarnej pracuje na placówce misyjnej w Albanii.

Po rozpakowaniu i kwaterunku w byłym domu misyjnym Ojciec Tomasz i dwie Agnieszki /wspomniane wolontariuszki/ zaprosiły nas na gościnę i "wspólne Polaków rozmowy". Winogrona i zimne piwo Bawaria po całym dniu hardcoru smakowały wyśmienicie. Okazało się, że Padre Tom /tak naszego księdza nazywają Albańczycy/ też jest motonitą i właśnie z Polski jedzie do Albanii Yamaha TW-200, którą będzie mógł dojechać do najdalej wysuniętych w góry wiosek i oczekujących tam na Słowo Boże wiernych.









Dzień dziewiąty - rano żegnamy naszych gospodarzy i jedziemy w kierunku przejścia granicznego Hani i Hotit. Po godzinie jesteśmy w Serbii i Czarno Górze, gdzie wzdłuż Jeziora Shkoderskiego kierujemy się na Podgoricę i Niksić. Na kilka chwil zajeżdżamy do Monastiru Ostrog a następnie przejeżdżamy najbardziej malowniczym odcinkiem całej trasy biegnącej kanionem rzeki Pivy i Driny do Sarajewa.

Widoki są niezapomniane a doskonały asfalt i wykute w litej skale tunele wzbudzają zazdrość - mam wrażenie, że gdyby w Naszym kraju przy tak trudnym terenie zabrano się za budowę drogi to pewnie trzeba by było kolejnej wojny światowej żeby nam Niemcy ją zrealizowali - coś widać Polaków "Pan powołał do wyższych celów" - rozbić komunizm

potrafimy a kilometra dobrego asfaltu nigdy nie udało nam się położyć. Kolejne przejścia graniczne i godziny w deszczu a w zasadzie ulewie, która dopada nas w Bośniackich górach doprowadzają nas na znany już kemping koło Mohaca.







Dzień dziesiąty i dla niektórych niestety ostatni - pada deszcz a "orkiestra nadal gra", pakujemy klamoty i pierwszy raz od 10 dni rozdzielamy się, część wraca do kraju a reszta przedłuża sobie wyjazd o kilka dni na Słowacji. Niestety wakacje dobiegają końca a dzieciaki muszą ruszać do szkoły - Łukasz nie wygląda na szczęśliwego ale cóż może za rok złośliwy ojciec weźmie go na kolejny hardcorowy wypad /jakieś Maroko, Nordcap czy kółko dokoła Morza Czarnego - plany już są ale jeszcze nie wiemy co na to wszystko powie mama/.

PS.Szczególne podziękowania dla Padre Toma i wolontariuszek z Vukpalaj Bajze za gościnę i nocleg oraz dla wszystkich uczestników wyjazdu za wytrzymałość, wyrozumiałość i cierpliwość która przy takiej liczbie uczestników była niezbędna. Powiem Wam jeszcze jedno - nie ma lepszego motorka do nawijania kilometrów niekoniecznie trasami pierwszej kolejności odśnieżania jak Africa Twin - ten sprzęt jest po prostu the best i niech nikt nawet nie podejmuje w tej kwestii polemiki /no może jeszcze poczciwy Trampek, który mimo że inny jest jednak blisko spokrewniony z Afri/. Na koniec zastanawiam się co napisać o samej Albanii?, jaki to kraj?, czy naprawdę warto tam jechać?. Pytań jest sporo ale i odpowiedź nie może zawierać się w jednym prostym zdaniu. Albania to niewątpliwie kraj największych kontrastów jakie do tej pory było mi dane oglądać.

Obok zaparkowanych na albańskiej riwierze w Durres Porsche i nowiutkich Merców widzieliśmy śpiące w rynsztoku okaleczone dzieci, żebrzących starców i grzebiące w stertach śmieci kobiety. Hotele od frontu opływają luksusem ale tuż za węglem widać walące się slumsy i ludzi o pustych oczach w których na próżno szukać nadziei na lepsze jutro. Inne wrażenia pozostawia albańska prowincja. Same góry też odmienne, wydają się wyrastać prosto z głębi ziemi, nie widać tu poprzedzających je zwykle pagórków takich jak choćby nasze Beskidy czy Podhale.

Zagubione w górach wioski i pojedyncze domy do których nie widać jakiegokolwiek drogi czy ścieżki są dla bądź co bądź "europejczyka" szokującym widokiem choć ich położenie z dala od jakiegokolwiek cywilizacji w jakiś sposób tłumaczy największy w Europie analfabetyzm. Pomimo tego, iż od powrotu mijają kolejne dni nadal jestem pod wrażeniem tego egzotycznego zarówno kulturowo, geograficznie jak i chyba przede wszystkim ekonomicznie kraju.

Co do pytania "czy warto tam jechać?" to z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć że "tak!" - kraj jest niezmiernie ciekawy a ludzie życzliwi - pomimo obaw i ostrzeżeń nigdzie nie spotkały nas jakiegokolwiek przejawy wrogości czy niechęci. Tak już chyba jest, że czym człowiek uboższy tym bardziej szczerzy i otwarty na innych. Albanio strzeż się!!! - kiedyś tam wrócimy i nie będzie "mientkiej gry"!!!